

LUCY MAUD MONTGOMERY

**RILLA  
ZE ŻŁOTYCH  
ISKIER**

PRZEŁOŻYŁA ANNA BAŃKOWSKA

MARGINESY

BYŁO CIEPŁE, ŻŁOCISTOCHEMURNE, upojne popołudnie. Susan Baker z poczuciem bezwzględnej satysfakcji rozsiadła się w dużej bawialni. Krzątała się po domu bez przerwy już od szóstej rano, toteż uznała, że teraz, o czwartej, należy się jej godzina wypoczynku wraz z porcją miejscowych plotek. Naprawdę miała powody do zadowolenia: w kuchni tego dnia wszystko szło jak z płatka, Doktor Jekyll nie zmienił się dziś w Pana Hyde'a, więc nie grał jej na nerwach, a z miejsca, w którym siedziała, rozciągał się widok na jej największą chlubę – grządkę osobiście przez nią wyhodowanych peonii. Nikt w Glen St. Mary nie doczekał się nigdy tak imponujących peonii – szkarłatnych, srebrzysto-różowych i białych jak śnieg.

| 11

Nowa czarna bluzka z jedwabiu, w którą się dziś wystroiła, wytwornością dorównywała wszystkiemu, co nosiła pani Marshallowa Elliott, podobnie jak białe wykrochmalony fartuch wykończony szeroką na pięć cali misterną szydełkową koronką, że nie wspomnimy o równie pięknej wstawce. W pełni świadoma własnej elegancji, Susan otworzyła „Dziennik Przedsiębiorcy”, szykując się do lektury *Notatek z Glen*, które jak poinformowała ją przed chwilą

panna Cornelia, zajmowały dziś całe pół kolumny i dotyczyły niemal wszystkich mieszkańców Złoty Iskier. Tymczasem już na pierwszej stronie bił w oczy wielki czarny nagłówek: w mieście o dziwnej nazwie Sarajewo zamordowano jakiegoś arcyksięcia Ferdynanda. Wiadomość tę Susan spostponowała jako zupełnie nieistotną – szukała przecież czegoś naprawdę soczystego... O, są! *Notatki z Glen St. Mary*. Umościwszy się wygodnie, Susan zaczęła odczytywać na głos zdanie po zdaniu, aby przypadkiem nie pominąć żadnego szczegółu.

Pani Blythe i jej gość, panna Cornelia *alias* pani Marshallowa Elliott, gawędziły sobie w pobliżu otwartych drzwi na werandę, skąd delikatna morska bryza nawiewała aromaty z ogrodu. Z obrośniętego winem kącika, gdzie siedzieli Rilla i Walter z panną Oliver, dobiegały niekiedy salwy śmiechu i wesołej paplaniny. Gdyż gdziekolwiek była Rilla, nie mogło się obejść bez śmiechu.

W bawialni znajdował się jeszcze jeden rezydent – zwinięty w kłębek na sofie. Nie wolno nam go pominąć, gdyż dał się poznać jako szczególny indywidualista, a także jako jedyny na świecie obiekt szczerzej nienawiści Susan.

Wszystkie koty są tajemnicze, ale Doktor Jekyll i Pan Hyde, zwany w skrócie Doktorkiem, bił pod tym względem wszelkie rekordy. Odznaczał się podwójną osobowością, czy też – jak zaklinała się Susan – był po prostu opętany przez diabła. Już same początki jego egzystencji wydawały się mocno podejrzone. Cztery lata wcześniej Rilla Blythe miała ukochanego kociaka, białego jak śnieg z czarnym czubkiem ogonka, którego nazwała Jack Mróz. Susan go nie lubiła,

choć nie umiałyby podać żadnego logicznego powodu swej antypatii.

– Wspomni pani moje słowa, pani doktorowo – mawiała złowieszczo – nic dobrego z tego kota nie wyrosnie.

– Ależ dlaczego tak sądzisz? – dziwiła się pani Blythe.

– Ja nie sądzę... po prostu to wiem – brzmiała odpowiedź.

Za to reszta domowników uwielbiała Jacka Mroza – był taki czyściutki i zadbany! Na swoim ślicznym bielutkim futerku nie tolerował najmniejszej plamki, do tego tak rozkosznie łąsił się i mruczał, nigdy też nie pozwalał sobie na najdrobniejszą nawet nieuczciwość.

I nagle... co za sensacja: Jack Mróz urodził kocięta!

Próżno by szukać właściwych słów, by opisać triumf Susan. Czyż nie upierała się zawsze, że ten kot zamydlił im wszystkim oczy? No to teraz sami widzą.

Rilla zatrzymała sobie jedno śliczne kociątko o wyjątkowo lśniącym i gładkim rudym futerku w ciemniejsze prążki, z dużymi złocistymi uszkami. Nazwała je Złotko, co wydawało się stosownym imieniem dla zabawnego stworzonka, które na razie w żaden sposób nie przejawiało swej prawdziwie wrednej natury. Susan oczywiście ostrzegała wszystkich, że po progeniturze diabolicznego Jacka Mroza nie można się spodziewać niczego dobrego, ale kto by się tam przejmował jej kasandrycznymi przepowiedniami?

Blythe'owie tak przywykli uważać Jacka Mroza za osobnika płci męskiej, że nie potrafili zmienić tego nawyku i uparcie nazywali go tym samym imieniem, co brzmiało dość śmiesznie. Gości wprawiało w osłupienie, kiedy Rilla rzucała mimochodem jakąś uwagę na temat „Jacka i jego

kociaka” czy upominała surowo Złotko: „Idź do mamusi i poproś go, żeby ci umył futerko”.

– To nieprzyzwoite, pani doktorowo – żaliła się Susan.

Sama kompromisowo zawsze mówiła o Jacku „to” albo „ta biała bestia”, toteż przynajmniej jedno serce nie ucierpiało, kiedy „to” przypadkiem otruło się czymś następnej zimy.

14 | Nie minął rok, jak wyszło na jaw, że imię „Złotko” zdecydowanie nie pasuje do rudego kotka, toteż Walter, który akurat czytał opowieść Stevensona, zmienił je na Doktor Jekyll i Pan Hyde, w skrócie Doktorek. Jako Doktor Jekyll kot był spokojnym, czułym poduszkowcem, który uwielbiał, gdy go głaskano i pieszczono. Szczególnie lubił układać się na grzbiecie i dawać się skrobać po gładkiej, kremowej szyjce, mrucząc przy tym w ekstatycznej satysfakcji. Jeśli chodzi o sztukę mruczenia, to mógł uchodzić za prawdziwego mistrza; żaden z kotów ze Złotych Iskier nie wydawał z siebie niemal bez przerwy tak rozkosznych dźwięków.

– Jedyne, czego zazdroszczę kotom, to mruczenie – zauważył kiedyś doktor Blythe, słuchając rozwibrowanych pomruków Doktorka. – Nie ma na świecie lepszego wyrazu ukontentowania.

Doktorek wyrósł na wielce przystojnego kota. Każdy ruch wykonywał z gracją, umiał też przybierać istic królewskie pozy. Kiedy owinięty swym długim, prądkowanym ogonem siedział nieruchomo na werandzie, wpatrując się w przestrzeń, domownicy czuli, że nawet egipski sfinks nie mógłby się z nim równać.

Za to gdy wstępował w niego Pan Hyde – co nieuchronnie zdarzało się przed deszczem czy wichurą – zmieniał się w dziką bestię o odmienionych ślepiach. I zawsze działało

się to nagle. Zrywał się z miejsca jak oszalały, zaczynał skakać i gryźć każdą rękę, która próbowała mu przeszkodzić. Futro w takich chwilach zdawało mu się ciemnieć, ślepią błyszczały diabolicznym blaskiem i w ogóle biło od niego jakieś niesamowite piękno. Jeśli taka przemiana następowała o zmierzchu, wszystkim domownikom udzielał się nastrój grozy. Kot stawał się wtedy straszliwym potworem i tylko Rilla zawzięcie go broniła, zapewniając, że to przecież „taki miły, skradający się kotek”. Bo i rzeczywiście się skradał.

Doktor Jekyll lubił świeże mleko. Pan Hyde go nigdy nie tykał, a na mięso reagował gniewnymi pomrukami. Doktor Jekyll umiał chodzić po schodach tak cicho, że nikt go nie słyszał. Pan Hyde tupał jak wielki chłop. Kilka razy, gdy Susan spędzała sama wieczór, wystraszył ją tym „niemal na śmierć”. Albo siadywał pośrodku kuchni i przewiercał ją przez godzinę nieruchomym spojrzeniem swych strasznych ślepiów. To rujnowało jej nerwy, ale biedaczka czuła do swego wroga zbyt wiele lęklivego respektu, by odważyła się go przepędzić. Raz rzuciła w niego patykiem, a kot błyskawicznie skoczył w jej stronę, więc uciekła za drzwi i nigdy więcej nie próbowała zadzierać z Panem Hyde'em. Za wszystkie jego nieprawości odgrywała się jednak na Bogu ducha winnym Doktorze Jekyllu, przeganiając go bezceremonialnie, jeśli tylko ośmielił się wetknąć nos do jej królestwa, i udając, że nie słyszy jego błagań o ulubione kąski.

– „Liczne grono przyjaciół panny Faith i Geralda Meredithów oraz Jamesa Blythe'a” – czytała Susan, rozsmakowując się samym brzmieniem tych nazwisk niczym słodkimi przysmaczkami – „bardzo się ucieszyło, mogąc

ich powitać kilka tygodni temu po powrocie z Redmond College. James Blythe, który w roku tysiąc dziewięćset trzy-nastym uzyskał dyplom w zakresie nauk humanistycznych, ukończył właśnie pierwszy rok studiów medycznych”.

16 | – Faith Meredith naprawdę wyrosła na najładniejszą dziewczynę, jaką w życiu widziałam – skomentowała to panna Cornelia znad swojej szydełkowej robótki. – Zadziewiające, jak się te dzieci rozwinęły, odkąd na plebanii zamieszkała Rosemary West. Ludzie już prawie zapomnieli, jakie to były łobuziaki. Anne, serdeńko, chyba pamiętasz, jak one dawniej się zachowywały? Rosemary zaskakująco dobrze się z nimi dogaduje, jest dla nich bardziej przyjaciółką niż macochą. Wszystkie ją kochają, a Una wręcz uwielbia. Co do małego Bruce’a, to Una stała się jego zdeklarowaną niewolnicą. Oczywiście ten chłopczyk to sama słodycz. Ale czy widziałas kiedy, żeby jakieś dziecko było aż tak podobne do ciotki, jak on do Ellen? Jest tak samo ciemny i stanowczy, nie widzę w nim ani jednej cechy Rosemary. Norman Douglas trąbi na całą wieś, że bocian się pomylił i zamiast do nich, zaniósł dzieciaka na plebanie.

– Bruce przepada za Jemem – zauważyła pani Blythe. – Kiedy nas odwiedza, chodzi za nim cichutko jak wierny piesek, śledząc każdy jego krok spod tych czarnych brwi. Wszystko by dla niego zrobił, przynajmniej tak mi się zdaje.

– Myślisz, że z Jema i Faith będzie kiedyś para?

Pani Blythe się uśmiechnęła. Powszechnie wiadomo, że panna Cornelia, która dawniej słynęła z wrogości do mężczyzn, na stare lata zaczęła bawić się w swatkę.

– Na razie są tylko dobrymi przyjaciółmi.

– I to nawet bardzo dobrymi, jak na mój gust – odrzekła z naciskiem panna Cornelia. – Dochodzą mnie słuchy o wszystkich sprawkach naszej młodzieży.

– Nie wątpię, że Mary Vance pilnuje, aby nie pozostawała pani w nieświadomości, pani Marshallowo – odezwała się znacząco Susan – ale to wstyd zajmować się swataniem dzieci.

– Dzieci? Jem ma dwadzieścia jeden lat, a Faith dziewiętnaście – zareplikowała panna Cornelia. – Nie zapominaj, moja Susan, że my, staruchy, nie jesteśmy jedynymi dorosłymi na świecie.

Urażona Susan zasłoniła się gazetą. Nie znosiła, kiedy wytykano jej wiek, nie tyle z próżności, ile z obawy, że ktoś mógłby ją uznać za zbyt starą do pracy.

– „Carl Meredith i Shirley Blythe w piątek wieczorem wrócili z Queen’s Academy. Jak się dowiadujemy, Carl ma w przyszłym roku objąć szkołę w Harbour Head, gdzie z pewnością będzie odnosił sukcesy jako świetny i lubiany nauczyciel”.

– O tak, nauczy dzieciaki wszystkiego o robalach – domyśliła się panna Cornelia. – Ukończył już Queen’s, więc pan Meredith i Rosemary chcieli go od razu wysłać do Redmondu, ale Carl to niezależna dusza i zamierza sam zarobić na studia. Na pewno wyjdzie mu to na dobre.

– „Walter Blythe, który przez ostatnie dwa lata uczył w szkole w Lowbridge, złożył rezygnację” – czytała dalej Susan. – „Jesienią wybiera się na studia”.

– Czy aby zdrowie mu na to pozwoli? – zaniepokoiła się panna Cornelia.



- Mamy nadzieję, że do jesieni się wzmocni - odparła pani Blythe. - Leniwe lato na słońcu i świeżym powietrzu potrafi zdziałać cuda.

- Tyfus to jednak ciężka choroba - zauważyła panna Cornelia - a Walter ledwie się wylizał. Moim zdaniem powinien wstrzymać się jeszcze przez rok, tylko on jest taki ambitny! Czy Nan i Di także jadą?

- Tak. Obie chciały uczyć jeszcze przez rok, ale Gilbert uznał, że nie ma na co czekać.

18 | - I bardzo dobrze. Będą miały oko na Waltera i dopilnują, żeby się nie przemęczał. Przypuszczam - panna Cornelia zerknęła z ukosa na Susan - że po tym, jak mi przed chwilą utarto nosa, nie powinnam wspominać, że Jerry Meredith robi słodkie oczy do Nan.

Susan puściła tę uwagę mimo uszu, a pani Blythe znów się zaśmiała.

- Droga panno Cornelio, chyba widać, że mam pełne ręce roboty z tymi wszystkimi rozflirtowanymi chłopakami i dziewczynami. Gdybym chciała traktować to serio, pewnie bym się nie pozbierała, ale tak nie jest... Wciąż z trudem do mnie dociera, że są już dorośli. Kiedy patrzę na moich dwóch wysokich synów, nie chce mi się wierzyć, że to te same tłuściutki, śliczne, całe w dołeczkach bobasy, które dopiero co tuliłam, całowałam i którym śpiewałam kołysanki. Czyż Jem nie był najśłodszym dzidziusiem Wymarzonego Domu? A teraz proszę: licencjat! I to podejrzewany o zaloty!

- Wszyscy się starzejemy - westchnęła panna Cornelia.

- Jedyna część mojego ciała, która czuje się staro, to kostka, którą złamałam, kiedy Josie Pye wyzwalała mnie dawno temu do przejścia po szczycie dachu Barrych. Za-

wsze mnie boli, gdy wieje wschodni wiatr. Nie wierzę, że to reumatyzm, ale co ból, to ból. A jeśli chodzi o dzieci, to zaplanowały sobie razem z Meredithami wesołe lato, zanim jesienią pojedą na studia. Taka radosna z nich gromadka! Przy nich dom aż tryska wesołością.

– Czy Rilla po powrocie Shirleya też wyjedzie do Queen's?

– Jeszcze nie zdecydowaliśmy. Ja wołałabym zatrzymać ją w domu. Gilbert uważa, że nie jest zbyt silna... Bardzo szybko wyrosła, jak na piętnastolatkę jest niedorzecznie wysoka. Nie palę się, żeby ją puszczać w świat... Byłoby strasznie spędzać zimę bez choćby jednego dziecka w domu. Musiałabym z nudów zacząć klócić się z Susan...

Susan uśmiechnęła się na to przypuszczenie. Klócić się z „drogą panią doktorową”! Też pomysł!

– A Rilla chciałaby jechać? – spytała panna Cornelia.

– Nie. Prawdę rzekłszy, to jedyne z moich dzieci, które nie ma takich ambicji. I właściwie tego żałuję, bo trochę by się przydało. Ona w ogóle nie myśli poważnie o życiu, zależy jej tylko na miłym spędzaniu czasu.

– A dlaczego nie miałyby się dobrze bawić? – oburzyła się Susan, która nie mogła znieść najmniejszej krytycznej uwagi na temat mieszkańców Złotych Iskier, nawet jeśli sami je wygłaszali. – Młoda dziewczyna ma swoje prawa i tego będę się trzymać. Jeszcze zdąży się naślęczyć nad łaciną i greką.

– Chciałabym dopatrzeć się u niej choć odrobiny odpowiedzialności. I sama wiesz, jak bardzo jest próżna.

– Bo też ma do tego powody. To najładniejsza panna w całym Glen St. Mary. Myśli pani, że w nawet czterech

pokoleniach tych wszystkich MacAllisterów, Crawfordów i Elliottów zza zatoki znalazłaby się choć jedna z taką cerą? Szkoda gadać! O, pani doktorowo, ja znam swoje miejsce, ale nie pozwolę pani tak jeździć po naszej Rilli. A pani niech posłucha tego, pani Marshallowo. – Susan uznała, że czas wyrównać rachunki z panną Cornelią za jej rozgrzebywanie sercowych spraw dzieci. – „Miller Douglas ostatecznie zrezygnował z wyjazdu na zachód. Stwierdził, że stara Wyspa Księcia Edwarda zupełnie mu wystarczy, i zamierza nadal gospodarować na farmie swojej ciotki, pani Alecowej Davis” – przeczytała z triumfalnym błyskiem w oku. – Słyszałam, pani Elliott, że ten Miller zaleca się do Mary Vance?

Strzał okazał się celny. Czerstwa twarz panny Cornelii poczerwieniała.

– Nie chcę, żeby się kręcił koło Mary – odrzekła cierpko. – Pochodzi z niewłaściwej rodziny. Jego ojciec był czarną owcą wśród Douglasów, nigdy go nie uznawali za swego. W dodatku matka wywodzi się z tych okropnych Dillonów z Harbour Head.

– Zdawało mi się, pani Marshallowo, że rodzice Mary też nie należeli do arystokracji?

– Mary Vance otrzymała dobre wychowanie i jest inteligentną, rozumną dziewczyną. Nie zmarnuje sobie życia przy kimś takim jak Miller Douglas. Zna zresztą moje zdanie w tej materii, a jak dotąd zawsze mnie słuchała.

– No to chyba nie ma się pani czego obawiać, bo słyszałam, że pani Davis także sprzeciwia się temu związkowi. Twierdzi, że nie ma mowy, by jej bratanek dał się złapać takiemu zeru jak Mary Vance.

Susan wróciła do swoich baranów w poczuciu zwycięskiego zakończenia potyczki. Po chwili odczytała kolejną wiadomość:

– „Z przyjemnością dowiadujemy się, że panna Oliver podpisała kontrakt nauczycielski na kolejny rok. Zasłużone wakacje zamierza spędzić w swoim domu w Lowbridge”.

– Tak się cieszę, że Gertrude z nami zostanie – skomentowała to pani Blythe. – Bardzo by nam jej brakowało. Ma wspaniały wpływ na Rillę, która ją ubóstwia. Mimo różnicy wieku serdecznie się zaprzyjaźniły.

– To panna Oliver nie wychodzi za mąż?

– Niby się o tym mówiło, ale podobno odłożyli te plany na rok.

– A kim jest jej wybranek?

– To Robert Grant, młody prawnik z Charlottetown. Mam nadzieję, że da Gertrude szczęście. Miała smutne, pełne goryczy życie i jest niezwykle wrażliwa. Została sama na świecie, a jej pierwsza młodość minęła. To nowe uczucie spadło na nią jak grom z jasnego nieba i ledwie śmie wierzyć, że okaże się trwałe. Kiedy okazało się, że trzeba odłożyć ślub, wpadła w prawdziwą rozpacz, chociaż pan Grant w niczym tu nie zawinił. Po prostu musi najpierw rozwikłać pewne komplikacje majątkowe, które wynikły po niedawnej śmierci jego ojca. Ale Gertrude odbiera to jako zły omen i boi się o swoje szczęście.

– I słusznie, pani doktorowo – zauważyła posepnie Susan. – Nie można za bardzo ufać mężczyznom.

– Pan Grant jest równie mocno w niej zakochany, jak ona w nim, więc Gertrude nie do niego ma żal, tylko do

losu. Ma pewną skłonność do mistycyzmu czy, jak to nazywają niektórzy, do przesądów. Wierzy w dziwne sny i chociaż się z niej śmiejemy, nie daje sobie tego wyperswadować. Chociaż przyznaję, że pewne jej sny... Oby tylko Gilbert nie usłyszał, że głoszę takie herezje! Co tam jeszcze znalazłaś, Susan?

– Och! Pani tylko posłucha, pani doktorowo: „Pani Sophia Crawford zlikwidowała swój dom w Lowbridge i chce zamieszkać ze swoją bratanicą, panią Albertową Crawford”. Przecież to moja kuzynka Sophia! Pokłóciłyśmy się w dzieciństwie o to, która zdobędzie w szkółce niedzielnej kartkę z napisem „Bóg jest miłością”<sup>\*</sup> w wianku z pączków różanych, i odtąd nie zamieniłyśmy ani słowa. A teraz ma zamieszkać po drugiej stronie drogi!

– Będziesz musiała jakoś się z nią pogodzić. Nie wypada się gniewać z najbliższymi sąsiadami.

– Kuzynka Sophia zaczęła tę kłótnię, więc niech pierwsza wyciągnie rękę do zgody – odparła wyniośle Susan. – Jeśli to zrobi, gotowa jestem wyjść jej naprzeciw, bo uważam się za dobrą chrześcijankę. To nie jest szczególnie wesoła osoba, przez całe życie na wszystko narzekala. Kiedy widziałam ją ostatni raz, miała tysiąc zmarszczek... może więcej, a może mniej... z tego biadolenia. Wyła jak potępieniec na pogrzebie swojego pierwszego męża, ale nie minął rok, jak znalazła sobie drugiego. Ostatnia notatka dotyczy specjalnego nabożeństwa w ostatnią niedzielę... Podobno kościół był pięknie udekorowany.

<sup>\*</sup> I List św. Jana Apostoła, 4,8 (wszystkie cytaty biblijne według Biblii Tysiąclecia).

– To mi przypomina, że pan Pryor zdecydowanie sprzeciwia się ustawianiu kwiatów w kościele – wtrąciła panna Cornelia. – Zawsze mówiłam, że jeśli przeniesie się tu z Lowbridge, będą z nim same kłopoty. Nigdy nie powinno się go powoływać na starszego, to wielka pomyłka i jeszcze jej pożałujemy. Podobno zapowiedział, że jeśli dziewczęta nadal będą „zaśmiecąc pulpit chwastami”, przestanie chodzić do kościoła.

– Kościół świetnie sobie radził, zanim Księżycowy Wąsacz sprowadził się do Glen, i moim zdaniem bez niego też sobie poradzi.

– Kto, u licha, nadał mu to śmieszne przezwisko? – spytała pani Blythe.

– Chłopcy z Lowbridge nazywali go tak, odkąd pamiętam, pani doktorowo... Pewnie dlatego, że ma taką okrągłą, czerwoną twarz z ryżymi wąsami. Nikt nie śmie używać tego przezwiska w jego obecności i lepiej się tego trzymać. Ale mniejsza o wąsy, ważne, że jest kompletnie stuknięty i ma głowę nabitą różnymi dziwnymi pomysłami. Teraz wybrano go starszym i podobno zrobił się bardzo pobożny, ale ja pamiętam, jak dwadzieścia lat temu przyłapano go na wypasaniu krowy na cmentarzu w Lowbridge. Tak, tak, nigdy tego nie zapomnę. Kiedy widzę go, jak modli się na spotkaniu, zawsze mam to przed oczami. No, to już wszystkie *Notatki*, więcej nic ciekawego w tej gazecie nie ma. Wiadomości zza granicy nigdy mnie nie interesowały. Co to za arcyksiążę, co go zamordowano?

– A co nas to obchodzi? – spytała panna Cornelia, nieświadoma, jak straszną odpowiedź na to pytanie szykuje przeznaczenie. – W tych bałkańskich krajach ciągle kogoś

mordują. U nich to normalne i doprawdy nasze gazety nie powinny drukować tego rodzaju sensacji. „Dziennik Przedsiębiorcy” ostatnio coraz bardziej przesadza z tymi szokującymi nagłówkami. No dobrze, muszę się zbierać. Nie, serdeńko, nawet mnie nie prosz, żeby zostawała na kolację. Marshall uważa, że jeśli nie ma mnie w domu przy posiłku, to znaczy, że nie warto go jeść... Iście po męsku. No to uciekam. Anne, serdeńko, co jest z tym kotem? Ma jakiś atak? – Doktorek nagle wylądował na dywaniku u stóp panny Cornelii, przypląszczył uszy, zaklął szpetnie, po czym jednym szaleńczym susem wyskoczył przez okno.

– Och, nie. Po prostu zmienia się w Pana Hyde’a, a to znaczy, że wkrótce zaczniesz padać albo mocno wiać. Nasz Doktorek mógłby służyć za barometr.

– Całe szczęście, że poleciał szaleć na dworze, a nie po mojej kuchni – stwierdziła Susan. – To ja idę zająć się kolacją. Przy takim tłumie, jaki teraz mamy, trzeba wcześniej myśleć o posiłkach.

TRAWNIK W ŻŁOTYCH ISKRACH usiany był słonecznymi plamami, między którymi czały się tajemnicze cienie. Pod wielką szkocką sosną kołysała się w hamaku Rilla, niżej, pośród korzeni, usadowiła się Gertrude Oliver. Rozciągnięty nieopodal w trawie Walter zatopił się bez reszty w romantycznych przygodach pięknych dam i dawnych bohaterów, których powołał na nowo do życia w swojej wyobraźni.

Rillę cała rodzina wciąż uważała za małe dziecko, co wprawiało ją w stan chronicznego oburzenia – nikt w domu nie dostrzegał, że jest już dorosła. W piętnastym roku życia niemal dorównywała wzrostem Nan i Di, poza tym rzeczywiście była tak ładna, jak głosiła Susan. Miała duże, orzechowe oczy, włosy w kolorze rdzawego brązu, mleczną cerę z drobnymi złotymi piegami i delikatnie wygięte brwi, które nadawały jej twarzy pytający wyraz, prowokując zwłaszcza młodych chłopców do udzielania odpowiedzi. Małe wgłębienie w górnej wardze wyglądało tak, jakby jakaś dobra wróżka pozostawiła tam przy chrzcie odcisk swego palca. Rilla, której nawet najlepsze przyjaciółki nie mogły odmówić sporej dozy próżności, uważała, że ma twarz zupełnie w porządku, natomiast martwiła się



swoją figurą i wolałaby, żeby matka pozwoliła jej wreszcie nosić dłuższe sukienki. Dziewczyna dawniej tak pulchna, że w czasach Doliny Tęczy zasługiwała na miano „pulpelika”, ostatnio mocno wyszczupiała. Zwłaszcza ręce i nogi miała teraz nieproporcjonalnie długie, toteż Jem i Shirley przezywali ją Pająkiem. Mimo to udawało się jej uniknąć niezdarności w ruchach – przeciwnie, można by sądzić, że nie stąpa, tylko tańczy. Choć wszyscy ją bardzo kochali, a nawet odrobinę psuli, Rilla Blythe cieszyła się opinią osobki niezwykle uroczej i nikomu nie przeszkadzało, że intelektem nie dorównuje swoim siostram.

Panna Oliver, która tego dnia wyjeżdżała na wakacje do domu, przez ostatni rok mieszkała w Żółtych Iskrach. Blythe'owie namówili ją do tego, chcąc sprawić przyjemność Rilli, która ubóstwiała swą nauczycielkę i nawet zgodziła się dzielić z nią pokój z braku innych wolnych pomieszczeń. Gertrude Oliver miała dwadzieścia osiem lat i jej dotychczasowe życie trudno byłoby uznać za usłane różami. Uwagę otoczenia przykuwały jej smutne brązowe oczy w kształcie migdałów, nieco drwiący wykrój ust i burza czarnych, wijących się włosów. I chociaż niezbyt ładna, odznaczała się pewnym tajemniczym urokiem, który tak fascynował Rillę. Pociągały ją nawet okazjonalne napady złego humoru i cynizmu, które przytrafiały się Gertrude tylko wskutek zmęczenia. Generalnie wesoła gromadka ze Żółtych Iskiek uważała pannę Oliver za świetną kompankę, zapominając, że tak bardzo różni się od nich wiekiem. Walter i Rilla, jej ulubieńcy, chętnie powierzali jej swoje sekrety i dzielili się marzeniami. Gertrude wiedziała, że Rillę pociąga życie towarzyskie, przyjęcia, na których bywają już Nan i Di, wy-

tworne wieczorowe suknie, a nade wszystko pragnie mieć wielbicieli. I to koniecznie licznych. Co się tyczy Waltera, to panna Oliver wiedziała, że napisał cykl sonetów „do Rosamond”, czyli do Faith Meredith, i że zamierza zostać profesorem literatury angielskiej w jakimś dużym college'u. Znała jego umiłowanie piękna i równie wielką nienawiść do wszelkiej brzydoty, a także jego mocne i słabe strony.

Walter nadal był najprzystojniejszym z młodych Blythe'ów. Panna Oliver przyglądała mu się z przyjemnością – tak właśnie wyobrażała sobie własnego syna. Lśniące czarne włosy, ciemnoszare oczy, idealne rysy. Poeta w każdym calu! Ten cykl sonetów to naprawdę wielkie osiągnięcie jak na dwudziestolatka. Panna Oliver знаła się na rzeczy i wiedziała, że Walter Blythe ma niezwykły talent.

Rilla kochała go z całego serca. Walter nigdy z niej nie pokpiwał, tak jak Jem i Shirley. Nigdy nie nazywał jej Pająkiem. Wymyślił dla niej pieszczotliwe imię „Rilla-ma-Rilla” – oparte na jej drugim pełnym imieniu „Marilla”, które nadano jej na cześć ciotki Marilli z Zielonych Szczytów. Nie cierpiała go, uważała, że jest okropnie pretensjonalne i staroświeckie, a ciotki Marilli nie zdążyła nawet dobrze poznać, gdyż ta zmarła, gdy Rilla była jeszcze mała. Dlaczego nie mogą nazywać jej pierwszym imieniem „Bertha”? Jest takie ładne i dystyngowane! Wersja Waltera jej nie przeszkadzała, ale nikomu innemu nie pozwalała tak do siebie mówić... no, może od czasu do czasu pannie Oliver. „Rilla-ma-Rilla”, wymawiane melodyjnym głosem Waltera, brzmiało ślicznie niczym szmer jakiegoś srebrzystego strumyka. Kiedyś zwierzyła się pannie Oliver, że chętnie umarłaby za Waltera, gdyby tylko miał z tego jakiś poży-

tek. Jak większość kilkunastoletnich dziewcząt, Rilla miała skłonność do egzaltacji, a najwięcej goryczy przysparzało jej podejrzenie, że Di zna więcej niż ona sekretów ukochanego brata.

28 | – On myśli, że nie jestem dostatecznie dorosła, by je zrozumieć – żaliła się z oburzeniem pannie Oliver – a to przecież nieprawda! I nigdy, przenigdy nie wypaplałabym ich nikomu, nawet pani. Powierzam pani wszystkie swoje tajemnice, inaczej nie miałabym chwili spokoju, ale Walterowych nigdy bym nie zdradziła... Ja mówię mu wszystko, pokazuję mu nawet swój dziennik, więc dlatego tak bardzo mi przykro, jeśli coś przede mną ukrywa. Chociaż daje mi do czytania swoje wiersze... Są naprawdę cudowne. Ach, jak bym chciała być dla niego kimś takim, jak dla Wordswortha jego siostra Dorothy! Po prostu żyję tą myślą. Ani Wordsworth, ani Tennyson nie pisali takich wierszy jak Walter...

– Akurat tego bym nie powiedziała. Obydwoj mają na koncie mnóstwo słabych utworów – odparła kąśliwie panna Oliver. Widząc jednak zranione spojrzenie Rilli, dodała pośpiesznie: – Ale wierzę, że Walter zostanie także wielkim poetą... w swoim czasie. A ty z wiekiem na pewno zdobędziesz więcej jego zaufania.

– Kiedy w zeszłym roku trafił do szpitala z tyfusem, to mało nie oszalałam – wyznała Rilla z lekką przesadą. – Nie mówili mi, w jak ciężkim był stanie, dopóki mu się nie poprawiło, tata im zabronił. Zresztą lepiej, że nie wiedziałam, nie zniosłabym tego. I tak co noc płakałam w poduszkę. Ale czasem – zakończyła z goryczą (lubiła niekiedy naśladować gorzki ton panny Oliver) – czasem myślę, że Walterowi bardziej zależy na Piątku niż na mnie.

Pies Piątek został tak nazwany, ponieważ po pierwsze, zawiał do Żółtych Iskier w piątek, a po drugie, Walter akurat zaczytywał się w przygodach Robinsona Cruzo<sup>\*</sup>. Formalnie należał do Jema, ale równie mocno przywiązał się do Waltera. Leżał teraz z nosem wtulonym w jego ramię i tłukł z zachwytem ogonem o ziemię, ilekroć Walter bezwiednie poklepał go po łebku. Piątek nie należał do żadnej znanej rasy, był – jak to określił Jem – zwykłym psem. BARDZO zwykłym, jak dodawali niemiłosiernie co poniektórzy. Bo też rzeczywiście nie grzeszył atrakcyjnym wyglądem. Na żółtej sierści miał nieregularne czarne plamki, z których jedna wyraźnie nasuwała się na oko, uszy całe w strzępach, gdyż nigdy nie wychodził zwyczajnie z honorowych potyczek. Posiadał jednak pewną cenną zaletę: wiedział, że nie wszystkie psy mogą cieszyć się urodą, elokwencją czy walecznością, ale każdy z nich jest zdolny do miłości. Otóż pod pospolitą powłoką Piątka kryło się najczulsze i najwierniejsze serce, jakie było w psiej piersi od zarania dziejów, a z jego brązowych oczu wзираło coś, co do złudzenia przypominało duszę, chociaż nie przyznałby tego żaden teolog. Lubili go też wszyscy mieszkańcy Żółtych Iskier, łącznie z Susan, która jednak z trudem znosiła jego zwyczaj zakradania się do pokoju gościnnego i wylegiwania się na tamtejszym łóżku.

Tego popołudnia Rilla nie miała światu nic do zarzucenia.

– Czyż ten czerwiec nie był rozkoszny? – spytała, śledząc rozmarzonym wzrokiem srebrzyste chmurki nad Do-

\* Robinson miał pomocnika, który w oryginale nazywał się Friday, czyli po polsku Piątek.

liną Tęczy. – Spędziliśmy tyle miłych chwil, pogoda także dopisywała. Po prostu idealny czas.

– Nie bardzo mi się to podoba – odrzekła panna Oliver z westchnieniem. – Wyczuwam w tym coś złowieszczego. Taki ideał jest zwykle darem bogów, czymś w rodzaju rekompensaty za to, co nam szykują w przyszłości. Zbyt często to widziałam, żeby nie mieć złych przeczuc, gdy ktoś się zachwyca „idealnie spędzonym czasem”. Ale rzeczywiście masz rację co do czerwca.

30 |

– Oczywiście nie działo się nic nadzwyczajnego. Jedyna tegoroczna sensacja w Glen to ta, kiedy stara panna Mead zemdląła w kościele. A mnie czasem marzy się jakiś prawdziwy dramat.

– Nawet o tym nie myśl. Dramaty zawsze przynoszą komuś cierpienie. Ale was czeka naprawdę wesołe lato, podczas gdy ja będę nudzić się w Lowbridge!

– Będzie pani często przyjeżdżać, prawda? Myślę, że tego lata będzie dużo się działo, chociaż ja, jak zwykle, pozostanę z boku. Czy to nie straszne, że uważają mnie za małą dziewczynkę, chociaż nią nie jestem?

– Jeszcze zdążysz być dorosłą, Rillo. Młodość szybko przemija, a szkoda, niechby trwała jak najdłużej. Już wkrótce zakosztujesz prawdziwego życia.

– Zakosztuję? Ja bym je jadła łyżkami! Chcę wszystkiego, wszystkiego, co tylko można mieć. Za miesiąc kończę piętnaście lat, a wtedy nikt już nie powie, że jestem dzieckiem. Słyszałam kiedyś, że ten okres między piętnastym a dziewiętnastym rokiem jest najlepszy w życiu dziewczyny. Zamierzam go wykorzystać do spodu, to będzie jedna wielka zabawa.

– Nie ma sensu myśleć o tym, co się będzie robiło, bo prawie na pewno nic z tego nie wyjdzie.

– Och, ale ileż frajdy daje samo obmyślanie!

– Tobie, małpeczko, tylko zabawa w głowie – odparła pobłaźliwie panna Oliver, zachwycając się w duchu idealnym kształtem podbródka swej podopiecznej. – No ale od czego ma się piętnaście lat? A nie wybierasz się tej jesieni do jakiegoś college'u?

– Nie. Ani tej, ani żadnej innej. Po prostu nie chcę. Nie interesują mnie te wszystkie -logie i -izmy, na punkcie których Nan i Di mają takiego bzika. Już pięcioro z nas poszło na studia i to wystarczy. W każdej rodzinie musi być jakiś matolek. Nie mam nic przeciwko temu, żeby nim zostać, jeśli tylko będę ładna, lubiana i urocza. Nie nadaję się na mądralę, nie mam żadnych zdolności i nawet nie wyobraża sobie pani, jak mi z tym dobrze. Nikt nie ma wobec mnie żadnych oczekiwań, więc nikt mnie do niczego nie przysusza. Ale na kurę domową także się nie nadaję. Nie znoszę szycia i odkurzania, a skoro nawet Susan nie nauczyła mnie pieczenia ciasteczek, to nikomu się to nie uda. Tata mówi, że nie pracuję ani nie przędę, więc pewnie jestem lilią polną\* – zakończyła Rilla ze śmiechem.

– Jesteś za młoda, by zupełnie rezygnować z nauki.

– Och, mama chce mi zimą urządzić kurs literatury. Odświeży w ten sposób swój licencjat. Na szczęście lubię czytać. Proszę nie patrzeć z taką naganą, moja najdroższa. Nie potrafię być poważna, kiedy wokół mnie wszystko się mieni kolorami tęczy. Za miesiąc będę miała piętnaście lat,

\* Zob. Ewangelia św. Mateusza, 6,28.

za rok szesnaście, a za dwa siedemnaście... Czy może być coś bardziej czarownego?

- Odstukaj w niemalowane drewno, Rillo-ma-Rillo - rzuciła Gertrude Oliver pół żartem, pół serio. - Mówię ci: odstukaj.